

# Stary dom



FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

## Stary dom

Nieskończone, ciągle zgrzyty, hałas, tętent kroków. Roją się ludzie jak mrówki, brzęczą jak bąki gderliwe. Szum, zgiełk w korytarzach Starego Domu, a ja muszę słuchać tego wszystkiego. Oczy zamknąć można.... przez uszy przenika wszystko. Chwytają każdy jęk, każdą skargę, każdą kłótnię. Najbliższa sprawa dostaje się do mózgu i rozgrywa się tam, rozkłada swe akta... Występuje oskarżyciel, obwiniony, obrońca, ława przysięgłych zasiada... Twoje zaś akta człowiecze, twe własne, najdroższe sprawy spycha woźny brutalnie na ziemię. Gdy zaś mieszkańcy Starego Domu chcą tańczyć, to chociaż masz w duszy pogrzeb dnia tego, musisz wycinać hołubce. Uszy to straszny wynalazek... straszny!

Słucham, a przede mną rozwarta księga mej duszy, w którą chwila po chwili wpisuje ktoś spoza kręgu naszego poznania, ku ziemi wychylony, słowa otuchy, przestrogi i nadziei.

Rozmyślam, a oni żyją.

Jakże wytrzymać w Starym Domu?

Co gadają.... nie wiem, ale czuję, jakby cięcia tępej szabli po twarzy, wydaje mi się, że duszę mą tacza ktoś w beczce nabitej ostrymi gwoźdźmi.

Idzie deputacja na strych. Strych oglądają. Parlament kazał obejrzyć strych, skąd kapie. Idą.

Za chwilę słyszę ich ponad sobą. Chodzą, przesuwiają ciężary, stukają młotami...

Nikomu nie przyjdzie na myśl, że to wszystko osłabia jeszcze bardziej stare belkowanie i rujnuje do reszty poszycie uczynione ze słomy zbutwiałej, której dostarczają rośliny, jakich obecnie już nie ma chyba na ziemi.

O, czemuż nie mogę was przemienić w lekkie motyle!

Łażą, suwają się na brzuchach. Niezmiernie gorliwi, niezmiernie punktualni.

Wracają.

A co?... Kapie?

Rozgwar głosów; idąc po schodach, kłócą się, wymyślają sobie.

Nagle łoskot, ktoś upuścił siekiere. Wydaje się, że spadła wprost na moją głowę.

Nie mogę... uciekam.

Leżę w trawie.

Naprzeciwko mnie Stary Dom. Roi się jak mrowisko w lesie. Dosłownie jak mrowisko, bo naokół dziwny, ogromny, nieznanany bór, który oni zowią „Wielki Las” i którego się boją. W podwórku Starego Domu gromadka ludzi. Dyskutują.

— Ho, ho... — powiada ktoś — postoi jeszcze, postoi... wszakże stał tak długo... dlaczegoż by miał teraz właśnie...

— Tylko trzeba dach zrzucić! — woła drugi. — Cięży starym murom i powoduje ich zamakanie. Trzeba odnowić dach nad naszymi głowami uczynić życie w Starym Domu pewniejszym.

— Tak, tak! — przytakują inni.

— To jest właściwie wydaje mi się... — zaczyna architekt stojący na uboczu.

— Tu nie ma żadnego „wydaje się”, tu trzeba koniecznie niezwłocznej decyzji!

— Panowie! Wszak powiedziałem w komisji: więcej światła... postęp wymaga światła, czyli okien... To jest rzecz przesądzona w całym świecie. Tu nie ma dwu zdań...

— To prawda... — wołają głosy.

Dźwięk

Dom, Polityka

— W ogóle na co są ściany? — pyta ktoś. — Zaćmiewają tylko pogodny pogląd na świat. Słońce to wszystko...

— Precz ze ścianami! — zawołano.

— Za pozwoleniem... a na czymże spocznie belkowanie dachu? — pyta ktoś.

— Patrzcie! Oto jest rozumowanie konserwatysty... jemu dach jest wszystkim, wydaje mu się, że górować, panować, gnębić to jedyna racja życia.

— Ależ panowie... wszakże to jest rozumowanie szaleńca... bez ścian i dachu...

— Szaleniec... szaleniec!

— Panowie! Proszę się uciszyć... Zabieram głos dla zreasumowania sprawy. Zaszczycony waszym wyborem...

— Ja głosowałem za Nietoperzem... Veto!<sup>1</sup>

— Zaszczycony wyborem na prezesa, konstatuuję w pierwszej linii niezwykle zainteresowanie obywateli sprawą przebudowy...

— Restauracji... nie przebudowy!

— To jest właściwie... racja... restauracji, sądzę, że utrafię w myśl wszystkich, jeśli...

— Się pan powieszisz! — dokończył ktoś.

W czwartym oknie drugiego piętra stoi człowiek jakiś i śmieje się szyderczo.

To Habdank, krawiec gromadzki, dziwnie pyszny i bezceremonialny.

— Cymbał! — woła, pokazując w nie palcem. — Patrzcie na cymbała! Czyż ktoś się w ogóle wyprowadza kiedy ze Starego Domu? Czyż można się w ogóle wyprowadzić? To człowiek szalony, człowiek niebezpieczny... rewolucjonista!

Z drzwi głównych wychodzi komisja, która była na strychu. Jest ich kilkunastu. Najgrubszy, widocznie prezes, wyłazi z trudem na beczkę kapusty. Jakaż to dostojna postać!

Tamci, obradujący przed chwilą, cofają się półkolem, by zrobić miejsce mówcy.

— Panowie! — zaczyna prezes komisji.

Wtem z brzękiem otwiera się okno w suterynie. Słychać zmieszane głosy. Odbywa się jakieś zgromadzenie. Widać głowy, ciżba, mrok w sali podziemnej.

— Do fundamentów Starego Domu ściekło wiele łez i krwi. Grunt rozmoczyła fala gorzkich łez. Nie dziwcie się tedy, że pękają sklepienia, że się rysują groźnie plafony z drzewa fiołkowego, cudnymi obrazami pokryte. Nie dziwcie się temu wy, którzy poszukujecie zła, by je usunąć i wy, którzy poszukujecie zła, by je utrwalić... Do fundamentów Starego Domu ściekło wiele łez i krwi.

Takie słowa leciały z suteryny.

— Panowie! — wołał mówca z beczki. — Zaszczycony wyborem na prezesa komisji dla badania ewentualności prawdopodobieństwa przypuszczenia, jakoby czcigodny, kryjący głowy długich pokoleń, dach waszego Starego Domu miał się znajdować w stanie niezupełnie odpowiednim...

— Błazeństwo! — ryknął ktoś z dołu. — Gadaj wyraźnie!

Z okna pierwszego piętra wyjrzała łysa głowa kierownika dobrego wychowania narodowego.

— A to co? — syknął. — A to co? Wszakże głos ma czcigodny prezes Trupia Czaszka!

— Panowie! — zaczął znów mówca. — Najskrupulatniejsze badania komisji, które mam zaszczyt przewodniczyć, wykazały, że właściwie wszelkie obawy, tylekroć wyrażane nie mają żadnego uzasadnienia!

— Wszakże cieknie straszliwie! — zagrzmiało z dołu.

— To niczego nie dowodzi! — ozwały się liczne głosy.

— Za pozwoleniem! — wołał prezes. — Nie przeczę wcale, że cieknie... nie o to idzie jednak...

— A o cóż?

— O zasadę niweczenia rzeczy czcigodnych, rzeczy świętych, w imię fałszywie pojętego postępu i rzekomej praktyczności.

— Precz z dachem! — wołano z dołu. — Niech go diabli biorą!

— Protestujemy!

— Panowie! Wchodzę *in medias res*<sup>2</sup>...

<sup>1</sup>veto (łac.) — nie pozwalam; w daw. Polsce formuła zrywająca obrady. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>in medias res (łac.) — w środku spraw. [przypis edytorski]

— Zrzucić dach!  
 — Panowie... pozwólcie... Komisja zbadła, że wprawdzie rzeczywiście dach Starego Domu...  
 — A widzisz pan... ha!  
 — Rzeczywiście wymaga pewnych... powiedzmy, ulepszeń... ale odrobina dobrej woli...  
 — Raczej nowych gontów!...  
 — Konopi wiecheć!...  
 — Dajcież mi mówić...  
 — Zgoła niepotrzebne... To sprawa architektów, nie polityków... precz z adwokatami! Gębą nie zatkaś pan dziury w dachu!  
 — Troszkę ufności! — błagał mówca.  
 — Absurd!  
 — Troszkę wiary w celową i troskliwą działalność rządu...  
 — Zrzućcież go raz z tej beczki!  
 — Tak... zrzućmy go! To duření!  
 — Podaj się do dymisji! Rząd Trupiej Czaszki nie może się utrzymać, odmawiamy mu zaufania!  
 — Tak nie można! Tak nie można! To jest terror! Głosujmy!... Głosować!  
 Ponad zmieszane głosy wzbiło się czyjeś wołanie.  
 — Obywatele! Zapraszam wszystkich na wielkie zgromadzenie. Na porządku dziennym referat radcy Nietoperza pt. *Więcej światła* czyli *O sposobie wyjęcia ścian bez dotykania ich*. Metoda premiowana. Obywatele, stawcie się jak jeden mąż. Rzecz to niezmiernie wagi społecznej. Wolność słowa i bijatyki po odczycie zagwarantowana. Przestrzegane też będzie jak najliberalniejsze traktowanie wszelakich nonsensów.  
 Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem prosto przed siebie.  
 Otoczyła mnie cisza leśnego ostępu, objął w ramiona chłód rozkoszny. Rzuciłem się wyczerpany na mech. Ciało legło spać zwolnione z ustawicznej, dręczącej konieczności odbierania tych wszystkich wrażeń, które niósł każdy dzień w Starym Domu przeżyty. Ogarnął je zaraz sen głęboki. Dusza zaś poszła w las przeżywać widzenie, które by nazwać można: *Mare viriditatis*<sup>3</sup>.  
 Oto nowa ojczyzna... — radowała się dusza, spoglądając jak ptak z wierzchołka drzewa po rozlewnej dali.  
 Nie było widać końca, las nietknięty toporem słał się aż do skraju widnokągu. Wydawało się, że wszystko co na dole musi być zielone, jak wszystko co w górze, szafirowe. Szarą plamą odcinał się jeno Stary Dom podobny wielkiemu strupowi na ciele natury. Brzydki był, bardzo brzydki.  
 — Podpałę tej nocy Stary Dom!  
 Przebiegło to niby strzała rzucona z jakichś niedosiężnych dali... i znikło, zanim dusza mogła się zadziwić.  
 Nagle rozległ się szmer jakiś.  
 — Sługa pana dobrodzieja! Co pan tam robi na drzewie?  
 Głos dochodził z dołu.  
 Niezwłocznie byłem przy mówiącym i poznałem naszego woźnego Milczka. Zazwyczaj nie gadał nic, uprzątając pilnie i cierpliwie rozliczne ubikacje Starego Domu.  
 Była to stwora jakaś niesamowita, instynkt ostrzeżał, ilekroć zbliżał się do mej stacyjki na poddaszu. Ale zachodził tam rzadko i znaliśmy się mało.  
 — Jak to, więc i pan wyprowadził się ze Starego Domu? — spytałem zdziwiony.  
 — I, nie... — zaśmiał się z cicha — Ja tak sobie tylko... na spacer... Właściwie tom przyszedł zobaczyć, jak się panu powodzi.  
 — Dziękuję! Na razie doskonale!  
 — W Starym Domu popłoch! Dziwią się, że pan się wyprowadził. Pytali mnie, z czego pan niezadowolony. Wydaje mi się, że oni się tego pańskiego postępkę przelękli...  
 — Przelękli się? Cóż ja im mogę uczynić, ja, lokator z poddasza?

Las, Ucieczka

<sup>3</sup>*mare viriditatis* (łac.) — morze zieloności; morze świeżości. [przypis edytorski]

— Poddasza i suteryny Starego Domu to najniebezpieczniejsze miejsca! — powiedział Milczek — Stamtąd wychodziły zawsze idee... wie pan... idee... a taka idea to gorsze, jak beczka prochu, to, powiadają, może wysadzić w powietrze Stary Dom.

— Nie ma obawy. Stary Dom dobrze jest pilnowany. Są żołnierze, są latarnie sygnałowe. Zresztą wszystkim, mimo rozlicznych narzekań, dobrze w Starym Domu. Poza tym, zważ pan tylko: wszak poza Starym Domem, jak mówią, nie ma wokół dosłownie nic, prócz ostępu leśnego, gdzie tajń i mroki, gdzie mieszkają straszliwe stwory niewidzialne, a mocne. Poza Starym Domem, powiadają, człowiek żyć nie może... rozumiesz pan... nie może!

— A jednak wyprowadziłeś się pan?

Błysło mi podejrzenie.

— Wysłano pana, widzę, drogi Milczku na przeszeptanie... co?

Zaprzeczył energicznie.

— Nie! Mylisz się pan. Lubię ludzi śmiałych... bardzo lubię.

— Cieszy mnie to. Ale czy poza tym nie masz pan do mnie jakiegoś konkretnego interesu? Wydaje mi się...

— Tak jest w istocie. Przede wszystkim jednak pytam... czy pan, który wiesz mnóstwo rzeczy, nie domyśliłeś się dotąd, kim ja jestem właściwie?

— Nie pomyślałem o tym... choć prawda... podejrzewałem zawsze, że pan jakoś tylko luźnie związany jest ze Starym Domem.

— O... bardzo luźnie... bardzo...

— Pełni pan jednakże określone funkcje, jest pan na etacie, posiada pan ordery i mundur z herbami Starego Domu.

— Streszczę się. Posłuchaj pan. W Starym Domu mieszkają nie sami jeno ludzie...

— Co?

— Mieszkają zarówno niższe od ludzi organizmy, jak zwierzęta, a jednocześnie i wyższe. Człowiek jest formą przejściową, a Stary Dom terenem tej ciągle trwającej przemiany. Od bakterii do istoty nadludzkiej, do anioła, czy szatana nie ma luki w wielkim łańcuchu rozwojowym. Bez jednego, choćby najmniejszego ogniwa, sam byt byłby niepodobieństwem. Wy, ludzie, widzicie w Starym Domu tę rzeczywistość, którą ogarniają wasze zmysły i to uważacie za prawdę. Ale i tam wasza prawda nie jest wieczną i trwałą. Podobnie jak gwiazdy stałe, pozornie od setek tysięcy lat tkwiące na jednym miejscu przestrzeni, posiadają jednak swój ruch własny i w ciągu milionów lat zmieniają położenie, podobnie i wasza ludzka prawda z wolna przesuwa się, wykonuje ruch po przestworach poznania. Stajecie się coraz bliżsi innej prawdy, prawdy anielskiej, podobnie jak wasz układ słoneczny posuwa się z zawrotną chyżością w kierunku Wagi w konstelacji Lutni...

— Jak to, wy... ? — przerwałem mu. — Czy pan nie jesteś człowiekiem?

— Naturalnie, że nie. Czyż inaczej przychodziłbym tutaj? Czyż miałbym odwagę wyłamać się spod autorytetu Habdanka?

— Wielkiż to autorytet?

— Bardzo wielki. Habdank jest krawcem gromadzkim. Każdemu szyje mundur z guzikami jego rangi i jego ludzkich atrybucji. Jest on rozdawcą praw. Można powiedzieć, że szyje on ciało duszom ludzkim, bo czymże byłyby w Starym Domu dusza bez tego ciała, bez rangi, z której wynika wszystko inne, jak płaca, utrzymanie, szacunek, prawo głosu, prawo deptania innych.

— A jednak ja wyłamałem się, a czyż nie jestem człowiekiem?

— Znowu szemat<sup>4</sup>. Powtarzam, człowiek jest to wiecznie żywa i wiecznie zmienna sprawa. Przypomina chmurę, która ciągle zmienia kształt, barwę, zawartość wilgoci i ustawicznie co innego niesie ziemi od ożywczego dżdżu, do niszczącego gradu. Pan wstawszy rano nie jesteś już tym samym, którym byłeś, kładąc się spać. Poza tym różni ludzie, jak różne gwiazdy, posiadają różną szybkość ruchu własnego. Jedni wiszą jak martwiejące półksiężycy czarne u boku ciał promiennych, wiecznie ku nim jedną stroną zwrócieni, inni pędzą z szybkością, wobec której szybkość pocisku największego działa Starego Domu

---

<sup>4</sup>szemat — schemat. [przypis edytorski]

jest jeno krokiem ślimaka. Ludzie o szybkości przekraczającej pewną miarę nie ulegają już atrakcji<sup>5</sup> Ziemi i wylatują poza jej orbitę, jak komety paraboliczne, czy hiperboliczne.

— I nie wracają?

— Niemal zawsze. Stwierdzono, że chyżość jest zmienna i słabnie w miarę oddalania się od Słońca. Właściwie nie ma hyperboli, a komety z reguły wracają. Tylko wracają po milionach lat w postaci odmiennej, tak że je poznać trudno. Mówi się wówczas: to człowiek zesłany od Boga. Takie przynajmniej mają zapatrywanie mieszkańcy Starego Domu.

— Dobrze! — zakończyłem. — Proszę mi teraz powiedzieć, jaki masz pan do mnie interes. Ciało moje zbudzi się niebawem i zechce jeść. Muszę coś dlań obmyślić.

— Nie znajdziesz pan nic dla swego ciała w Wielkim Lesie. Ziola tam rosnące to trucizna dla człowieka dzisiejszego.

— A to ładna historia. Cóż się więc stanie?

— W tej sprawie przybywam właśnie.

— Poradźcie przeto drogi panie Milczku... ale *à propos*... nie pojmuję, z jakiego powodu właśnie pan zajmujesz stanowisko tak niskie w Starym Domu.

— A jakież zajmował pan? Ranga nieużytko-myśliciela z mieszkaniem na poddaszu? Rangi, widzisz pan, są rozdzielone na zasadzie praw, których badać nie należy. Byłaby to jałowa praca i daremna. Ale każda osobowość ludzka posiada poza swą widoczną, zewnętrzną, drugą jeszcze misję życiową „tajny rozkaz”, którego częstokroć sama nie zna. Najczęściej zdarza się, że najniższa ranga posiada misję niezmiernie doniosłą. Jest to nawet zrozumiałe, ci, którym nie dano nic na ziemi, muszą mieć przecież coś dla siebie w niebie... prawda? Ale wracajmy do spraw aktualnych. Cóż tedy poczniemy z pańskim ciałem?

— Nie wiem... nie myślałem o tym...

— Pyszny człowiek... panu niewątpliwie dano bardzo piękny „tajny rozkaz”.

— Zginąć?...

— Hm... możliwe... Albo może odnowić Stary Dom...

— Jakże to?

— Przypuszczam, że należałoby po prostu podpalić go na cztery strony!

— Co? — krzyknąłem wstrząśnięty do głębi, bo myśl taka zabłysnęła mi przed chwilą.

— Tak jest! Byłaby to nawet rzecz piękna taki pożar ziemi... to jest chciałem powiedzieć... Starego Domu. Pomyślano by w przestrzeni, że urodziła się nowa gwiazda, a któraś z konstelacji oglądanych od przeciwległego krańca przedwieczności wzbogaciłaby się o nowe słońce.

— Ależ wszakże Stary Dom jest dla ludzi wszystkim, co posiadają...

— I nic prócz niego nie mają...

— Cóż by im tedy pozostało?

— Konieczność zbudowania Nowego Domu.

— Trud nadludzki...

— Praca wznosząca ku anielstwu...

— Kara okropna...

— Za to, że uczynili swój dom nieznośnym...

Zamyśliłem się głęboko, potem zaś chcąc zmienić treść rozmowy, spytałem:

— Ale cóż pan radzisz uczynić z moim ciałem?

— Użyjemy go do spełnienia czynu!

— Zginie?

— Naturalnie! Rzecz prosta! Każdy wielki Odnowiciel świata, ginął zawsze... Czyż mam wymieniać nazwiska...

— Tak, tak... to prawda. Ale widzisz pan, mimo owych odnowicieli, Stary Dom stoi, jak stał. Nie powiodło się widać żadnemu...

— Znowu szemat<sup>6</sup>. Zastanów się pan! Czy to jest... pierwszy Stary Dom... człowieka? Nie... wcale nie. Spadło na miejsce, które zajmuje mnóstwo piorunów i szalały pożary ogromne... To jest tylko ostatni... Stary Dom, to jest ostatnia formuła poznania

<sup>5</sup>atrakcja — tu: przyciąganie. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>szemat — schemat. [przypis edytorski]

ludzkiego, dobra na dziś, zgoła nieprzydatna na jutro. Nic nie jest trwałe, co tylko jest żywe... nie zapominaj pan o tym... nie zapominaj ani na chwilę!

Czułem zawrót myśli, niby czerwone fale przelewały się jedna w drugą. Czułem, jakby sen mój był jawą, z której przeszedłem w drugi sen. Wszystko wydało mi się innym, dziwnym na tym głębszym poziomie snu, podobnie jak oczy napotykają coraz inne dziwne zjawy w miarę zapuszczania się coraz głębiej w bezdeń morza.

W pierwszej linii zatroskałem się teraz na dobre o moje ciało leżące oto tam niedaleko na mchu.

Rozejrzałem się wokół. Rozłóg wysokiej trawy. Witki jej ruszały się ustawicznie, kłaniały sobie, zbliżały się ku sobie i oddalały. Żadne źdźbło nie stało na swoim miejscu. Wydawało się, jakbym tkwił w olbrzymim, dziwnym węzowisku, cieniuteńkich żmij, gotowych kąsać. Pośród traw widniały olbrzymie, niemal czarne kwiaty z pozoru przypominające pełne maki. Płatki koron poruszały się nieumiarowo, jakby dowolnie, odsłaniając żółte plamy, podobne do wielkich kocich oczu. Także pnie drzew nie tkwiły nieruchomo w ziemi. Oddalały się od siebie, to znów zbijały w gromadki. Korony ich szeptały zaś poufnie, naradzając się ze sobą, konary wyciągały się ku sobie, niby ręce gotowe objąć, pieścić czy dławić...

Przeraziłem się.

W tym lesie nie sposób znaleźć schrony<sup>7</sup> ni pożywienia dla ciała.

Stałem zmieszany, nasłuchując odgłosu. Milczało wszystko, nie musnął mnie najlżejszy nawet powiew wiatru.

Przystąpiłem do ciała leżącego we śnie.

Pochylone, w ruchu zdziwienie wyrażającym, stały nad nim trzy niezmiernie wielkie, czarno szafirowe kwiaty. Płatki ich poruszały się szybko, migwały rozwarte szeroko, to znów mrużące się oczy. Obok kwiatów wzniesiona w powietrze zwiśla wielka purpurowa, metalicznie połyskująca żmija.

— Wstawaj! — krzyknąłem z całej mocy.

Kwiaty uciekły szybko, żmija znikła w trawie.

Zerwałem się na równe nogi i obejrzałem się wokół.

Stałem na leśnej polanie, wśród gęstej trawy. Był zmrok. Poprzez pnie drzew przebłyskiwało światło.

Były to latarnie sygnałowe Starego Domu, umieszczone na jego peryferii, tam gdzie przytykał Wielkiego Lasu.

Uczułem pewien niepokój. Czegoś mi brakło. Nie mogłem odnaleźć się w otoczeniu, jak się to dzieje zawsze po nagłym przejściu do jawy. Wydawało mi się, że przed chwilą nie byłem sam, że rozmawiałem z kimś. Powietrze drżało, zda się jeszcze, od słów dziwnych, ważnych...

Jakież to słowa?... Kto mówił?

Coś należało uczynić!... Ale co?

Kroczyłem machinalnie w stronę Starego Domu. Gdy doszedłem do bramy, późno już było tak, że mogłem niepostrzeżenie wśliznąć się tuż za plecami zagapionego w ciemny żołnierza.

Szedłem dalej. Wspomnienie, że padły jakieś dziwne słowa towarzyszyło mi ciągle.

Nagle w chwili, gdy zaczął wstępować na schody, uczułem się sam, zupełnie sam, a wrażenie słów zasłyszanych pierzchno i nie wróciło.

— Ciekawym, co mówił tajny radca Nietoperz o przysporzeniu oświaty w Starym Domu — pomyślałem i zamyśliłem się nad tym problemem.

Na drugim piętrze natknąłem się na zakręcie korytarza na woźnego Milczka.

Był to człowiek małowówny i znaliśmy się niewiele.

— Dobry wieczór! — powiedział grzecznie i skłonił się.

— Dobry wieczór! — odpowiedziałem i poszedłem dalej.

Na wysokości mego poddasza zatrzymałem się. Ktoś mówił na dole, tętniły kroki. Odbierano raporty.

— Wszystko w porządku! Zamykać bramę! Spać!

Rozkazy donośnie zahuczały po pustych korytarzach.

<sup>7</sup>schrona — dziś: schronienie a. schron. [przypis edytorski]

Wśliznąłem się do mojej stacyjki i zbliżyłem się do stołu.

Na rozwartych kartach ukochanej księgi leżał ogromny, ciemnoszafirowy, nieznan mi zupełnie kwiat, przypominający pełny mak. Leżał jak zamordowany człowiek. Bezwładnie, ciężko spoczywały płatki korony na bieli papieru, niby na śmiertelnej pościeli. W rozchyleniu dwu płatków widniały ogromne, żółte, zaszłe bielmem śmierci oczy.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-stary-dom>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, *Tropy*, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czernieckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).